



Mira Ledowska
Zza okna

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Mira Krum-Ledowski
Zza okna

Mira Krum-Ledowski

Zza okna

Warsztaty Kultury w Lublinie

2019

*Profesor Jadwidze Mizińskiej
i wszystkim polskim Przyjaciołom*

Od autorki

Kiedy po trzydziestu sześciu latach ulubionej pracy pedagogicznej przesłam na emeryturę, rozpoczął się drugi okres mojego życia. Przede wszystkim zaczęłam uczestniczyć w spotkaniach z młodzieżą izraelską i opowiadać o wspaniałych ludziach, których zesłał nam los, i którzy uratowali nas od śmierci. Wtedy jeszcze nie miałam szansy na odnalezienie ich i postaramie się dla nich o medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Urzędnik w warszawskim biurze poradził: „Niech sobie pani wybije to z głowy”. Z głowy można, ale nie z serca i pamięci. Postanowiłam więc opowiadać o nich moim izraelskim słuchaczom. Pracowałam wtedy w telawiwskiej filii edukacyjnej Instytutu Pamięci Narodowej Jad Vashem, w kibucowym centrum edukacyjnym Givat Haviva i gdzie jeszcze się dało – w szkołach, *cofim*^{*}, wojsku. Uważałam, że po to ocalałam.

Kiedy leżałyśmy w polu kukurydzy, a nad nami przelatywały ogłuszające, czerwone i ogniste katusze, moja mama przykryła mnie własnym ciałem i powtarzała, płacząc: „Nie bój się! Ty musisz przeżyć! Twój tatuś nad tobą czuwa. Ty musisz przeżyć, aby opowiadać o tym, co było”. Zaczęłam więc realizować ten nakaz. Myślę, że przez te dwadzieścia dwa lata usłyszały o tym tysiące młodych ludzi.

Kiedyś na jednym z takich spotkań z młodzieżą kibucową z północy kraju zapytał mnie siedemnastoletni chłopak, o twarzy aniołka, ale z głosem Szalapina: „Czy ty napisałaś książkę o swoich przeżyciach?”. (W kibucach zwraca się do wszystkich w drugiej osobie.) Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że nie. „A to dlaczego?” – zagrzmiął znowu. „Bo źle napisanych książek o Zagładzie jest masa. Aby napisać

* Izraelskie harcerstwo.

o tym dobrze, potrzebny jest talent, którego nie mam! Póki mogę jeździć na spotkania i opowiadać, robię to. Może kiedy będę stara i nie będę mogła jeździć, wtedy pomyślę o pisaniu wspomnień” – tłumaczyłam. Na co znowu zabrzmiał (tym razem anielsko) ten sam bas: „Nie czekaj, aż będziesz stara. Pisz już!”. Usłyszeć takie słowa, przekraczając siedemdziesiątkę, to balsam na zbolałą duszę kobiety. Oblizałam się w duchu, jak kot po śmietance, i zapamiętałam. A ponieważ pracowałam równocześnie jako lektorka języka polskiego w Instytucie Polskim w Tel Awiwie, postanowiłam, że i moi uczniowie poczytają o moich Sprawiedliwych. Zaczęłam pisać opowiadania, którym nadawałam podwójny cel: merytoryczny – moi Sprawiedliwi i nasze losy, ale też dydaktyczny – poszerzanie słownictwa, ćwiczenia z gramatyki, przykładowo: „byłam mała – byłem mały”, „myślałam – myślałem”, „siedziałam w piwnicy – siedziałem”... Albo słownictwo związane z Bożym Narodzeniem: „gotowała barszcz”, „smażyła ryby”, „piekła pierniki i makowce”. Innym razem w opowiadaniu o dwóch znajomych rozmawiających w kawiarni o zamążpójściu brzydkiej córki: „Kim on jest?” (narzędnik). „On jest profesorem, jego ojciec jest matematykiem, a matka znaną lekarką, siostra dziennikarką”. „Pretensjonalna mamunia chwali się dobrym zamążpójściem podstarzałej córki”. Przy okazji takich dialogów wdrażałam moich uczniów w używanie narzędnika, bo w hebrajskim nie ma deklinacji.

Tak powstało sporo opowiadań o moich przeżyciach i, co ważniejsze, o wspomniałych ludziach, którzy nas ratowali, o rodzinie młynarza – pana Dwolińskiego i o cudownej pani Antoninie Działoszyńskiej. Niektóre z tych opowiadań posyłałam moim przyjaciołom. Potem przyszła propozycja ich zredagowania i wydania. Myślę, że gdybym miała opowiadać nieznanym mi ludziom o tym wszystkim, nie miałabym

najmniejszych oporów, ale ponieważ od dzieciństwa moja matka wpajała mi ogromny szacunek do słowa drukowanego, to z tym jest o wiele gorzej.

Mira Krum-Ledowski

Okno

Miałam wtedy prawie sześć lat i niewielką szansę dożycia siódmych urodzin. W piwnicy młynarza, pana Dwolińskiego, w Beremianach, znajdowało się małe okienko, którego nie można było otwierać. A za tym okienkiem – kamienie i woda. Nasz cały świat.

Strumień rzeczki poruszającej żarna we młynie obmurowany był pionowym murem, który zasłaniał cały pozostały świat. Byliśmy niewidzialni z zewnątrz, ale też niczego na zewnątrz nie widzieliśmy. Bezpieczni! Czasem na kamiennym obramowaniu piwnicznego okienka siadały wróble. Otrząsały piórka, rozsypując wokół lśniące krople wody i kłóciły się, a nawet biły. Patrzyłam na nie jak zaczarowana. Coś się działo w tym naszym pozbawionym ruchu i dźwięku życiu, w burej, ze wszystkich stron oblepionej gliną piwnicy.

Zabić psa

Kiedy zaczęła się wojna, byłam za mała, aby coś rozumieć. Ale jednak, kiedy do naszego domu przyszedł jakiś obcy pan i był niegrzeczny, coś przeczuwałam. (Był to sowiecki oficer, który zajął nasze mieszkanie.)

Mamusia powiedziała potem, że musimy się pakować. Była bardzo zdenerwowana. Zaczęła zbierać różne ważne rzeczy do walizek. A ja patrzyłam i zadawałam coraz więcej pytań. Ale mamusia powiedziała, że od jutra będziemy mieszkać u babci Anny.

Bardzo się ucieszyłam, bo zawsze lubiłam do niej chodzić. Moi trzej wujkowie, którzy mieszkali z matką, nosili mnie „na barana”, tańczyli ze mną, fotografowali i podziwiali!

Nie nudziłam się u babci. Mogłam pójść do sadu i zrywać owoce, jeśli tylko sięgałam do nich. A jak nie – wołałam wujków i to, co chciałam – miałam, bo nikt nigdy mi niczego nie odmawiał.

Czego tam w tym sadzie nie było? Jabłka i gruszki, śliwki i wiśnie. Do tego maliny i truskawki...

Natomiast w ogrodzie warzywnym rosły równym rzędkiem rzodkiewki i śliczne, pomarańczowe małe marchewki, soczyste i słodkie...

Były także maleńkie jeszcze, niedojrzałe ogórki... Mieszkanie w domu babci to był raj na ziemi! Wszyscy mnie kochali, bo byłam pierwszą wnuczką. Komplementy i pieszczoty – od rana do wieczora.

Wszystko mi było wolno, bo byłam taka „słodka mądralinka”, taka „wdzięczna dziewczynka”. Właściwie od rana miałam wszystko, o czym może zamarzyć dziecko. Można było biegać boso, bawić się, jeść pyszności, które przygotowywała babcia. Czasem trzeba było prosić, abym ja dła... Nawet muzyka była, bo mój najstarszy wujek zrobił

własnoręcznie radio detektor i słuchał muzyki od rana albo grał na skrzypcach.

Było jeszcze coś, co mnie zajmowało godzinami: moi trzej wujkowie robili modele samolotów i szybowców. A ja patrzyłam z ciekawością, ale nigdy nie dotykałam modeli, bo wiedziałam, że wujkowie by się bardzo zmartwili, gdybym coś popsuła. Dodam także, że wujowie wieszali swoje modele pod sufitem, więc nie tylko z grzeczności nigdy ich nie dotknęłam.

Jednego mi brakowało w domu babci: w okolicy jej domu nie było dzieci. Ale był Lux!!! Mój jedyny i największy przyjaciel.

Lux – to był pies dziadka. Od kiedy dziadek zmarł (zanim się urodziłam), Lux był zawsze smutny. Nie chciał, aby go głaskać. Jadł, pilnował domu i spał. Kiedy przychodziliśmy do babci – był grzeczny, nie czekał, ale i nie podchodził.

Jednak od kiedy zamieszkaliśmy u babci, Lux zaczął sy-piać koło mego łóżka i czekać, aż się obudzę, abyśmy mogli razem pobiec na podwórko. Lux pozwalał mi się głaskać, ciągnąć się za swoje miękkie uszy wilczura alzackiego. Lizał mnie po rękach i patrzył na mnie, wesoło merdając ogonem. Gotowy zawsze na poranne zabawy. Odżył i stał się przy-jacielem rodziny. To był mój pierwszy w życiu prawdziwy przyjaciel!

O wojnie, toczącej się naokoło, nie wiedziałam niczego. Nie czułam, że Rosjanie nie są zbyt życzliwi bogatym Polakom i Żydom. Nie słyszałam rosyjskich pociągów wywożących ich na Syberię.

U babci zamieszkał bardzo miły rosyjski oficer, artysta malarz, który zaprzyjaźnił się z moim najstarszym wujkiem – muzykiem.

Miałam się zwracać do niego per „Panie Makohon!”, ale on wołał, jak mówiłam „wujku”. Po jakimś czasie rosyjski

oficer-dżentelmen stał się ulubieńcem babci, która mu współczuła, bo bardzo tęsknił za domem i rodziną.

Któregoś dnia znikł nasz rosyjski gość. Kiedy zapytałam o niego, usłyszałam, że zaczęła się wojna między Rosjanami a Niemcami i pan Makohon poszedł na wojnę.

Niemców, którzy weszli do Tłumacza, nie widziałam wcale, bo mieszkaliśmy na przedmieściach miasta, ale któregoś dnia niemiecki oficer zadzwonił do furtki naszego ogrodu.

Lux, który miał obowiązek pilnować domu, przybiegł, szczekając, do bramy. Ja za nim...

Oficer włożył rękę do kieszeni (tak myślałam), wyjął rewolwer i strzelił do Luxa. Lux upadł. Leżał nieżywy. Ja się rozpłakałam ze strachu, babcia wyszła na próg. Była oburzona, że kulturalny oficer straszył dziecko i zabił jej psa! Potem mówiła, że nawet nie przeprosił. Oficer zakomunikował jej, że odtąd codziennie dostarczać musi niemieckiemu dowództwu świeże chleby, nabiał, owoce i jarzyny. I odszedł...

A Lux leżał we krwi i nie ruszał się. Babcia zabrała mnie zapłakaną i przerażoną do domu... Wtedy zrozumiałam, że wojna i Niemcy są straszni.

Odtąd kiedy widziałam Niemców, wiedziałam, że grozi nam śmierć, którą zobaczyłam z bliska po raz pierwszy w cudownym domu babci.